

# Kossakowska Maja lidia

## Zobaczyć czerwień

Z „Fahrenheit”

Światło latarni rozmywało się na mokrym bruku złotymi plamami. Mżyło. Maleńkie, lodowate kropelki osiadały na skórze, kasały zimnem. Ramiona i rękawy płaszcza otaczała perłowa mgiełka wilgoci. Zziębły wciśnięte w kieszenie ręce. Asmodeusz zakaszłał, podniósł kołnierz. Co za ziąb, pomyślał.

Właściwie powinien wracać do domu, ale nie miał ochoty. Błąkał się po zaułkach ziemskiego miasta, pustego o późnej porze przy deszczowej pogodzie i marzł. Przemierzał wąskie uliczki, strome schodki, skwery z fontannami, gdzie odlane z brązu figury nimf i trytonów zdawały się kulić w porywach wiatru. Od kamiennych murów ciągnęło chłodem.

W niszy, przy wejściu do starej kamienicy, dzinn w niechlujnym turbanie ładował sobie działkę. Złote oczy patrzyły obojętnie na przechodzącego demona. Podmuch wiatru załopotał połami płaszcza, szarpnął seledynowe włosy, opadające w mokrych kosmykach na kołnierz. Asmodeusz zadygotał z zimna. Przeszedł jeszcze dwie przecznice, zanim znalazł dość zaciszne miejsce, gdzie wiatr przynajmniej nie urywał głowy.

Zatrzymał się na chwilę, wyciągnął z kieszeni papierosa. Pstryknął palcami, spomiędzy których natychmiast wystrzelił nikły płomyk. Osłonił pełgające światełko drugą dłonią. Przypalił, zaciągnął się. Co ja tu robię, zapytał ponuro sam siebie. W kałużach odbijało się ciemne, nocne niebo. Asmodeusz westchnął. Wmówił sobie, że odwiedza ziemię w poszukiwaniu natchnienia, ale prawdę powiedziawszy, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Męczyła go chandra. Właściwie to nie było dobre określenie. Asmodeusz, jeden z najświetniejszych Mrocznych, arystokrata Głębi, przyjaciel Lucyfera, miał problemy.

Westchnął ponownie. W mieście królowały cisza i ciemność. Krople deszczu spływały po włosach demona. Wiatr rozrzucał smutne, listopadowe liście, podobne do małych mumii. Asmodeusz zapragnął wrócić do domu, wziąć gorącą kąpiel i położyć się do łóżka. Może tym razem uda mu się zasnąć?

Ścisnął w dłoni skrawek latającego dywanu.

- Moc! - powiedział dobitnie.

Chodnik natychmiast zapadł się pod jego stopami.

\*\*\*



### O AUTORCE

**Maja Lidia Kossakowska** - (wł. Maja Lidia Korwin Kossakowska - jedna z tytułarnych właścicieli Pałacu Kossakowskich).

Absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, magister archeologii śródziemnomorskiej. Wcześniej ukończyła Liceum Sztuk Plastycznych Znak zodiaku Ryby (jak sama określa - akwariowe, spokojne, łagodne). Z zawodu jednak "wolny strzelec". Opublikowała dziewięć opowiadań, nad dziesiątym pracuje nadal. Otrzymała Nagrodę Pisarzy SF za opowiadanie roku 2000 pt. "Beznogi Tancerz", w ciągu dwóch lat wyróżniona trzema nominacjami czytelników do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla za opowiadania: "Sól na pastwiskach niebieskich", "Schizma" i "Beznogi Tancerz". Stan majątkowy - (nie podlega zeznaniu podatkowemu) - dwa koty: Felek Przybłęda - Kot Specjalnej Troski i Gizela - piękna i okrutna córka herszta kociej bandy z Warmii. Lubi podróże bliskie i dalekie, a zwłaszcza te w krainy wyobraźni.



Wylądował lekko w głównym hallu swego pałacu. I zaklął wściekle przez zęby. Powitał go gwar wielu głosów, pijackie śpiewy i hałaśliwa muzyka. Na głowie marmurowego fauna, przepięknej pompejańskiej rzeźby ustawionej przy drzwiach, wisiała mokra, cuchnąca alkoholem szmata, zapewne fragment czyjejś podartej kreacji. Przez polerowane, ręcznie zdobione kafle podłogi wiódł szlak wymiocin, kończący się na kobiercu tkanym z tęczowego blasku rękami dzinnów Kserksesa. Kolekcja biało gruntowanych lekytów, greckich wazonów nagrobnych, zdobionych widokami pól elizejskich, przemieniła się w stos smętnych skorup. Alchemiczne ryciny, które wyszły spod pióra samego Nicholasa Flammela, zostały wyrwane z ram

i splugawione obscenicznymi komentarzami. Asmodeusz ostrożnie podniósł jedną z nich, przetarł rękawem wilgotne plamy po winie i spojrzał na monstualne genitalia dorysowane czerwonemu orłowi zwyciężającemu czarnego. Mięśnie szczęk demona zadrgały. Przypomnił sobie rozchybotane światło świec w pracowni wielkiego alchemika i pochylonego nad stołem Flammela z piórem w dłoni. Ile czasu, trudu i zwątpień kosztowało ich obu odkrycie tajemnic zapisanych w sekretnym, zielonym języku na tym oto, beztrosko zbezczeszczonym kawałku pergaminu.

Wrzask dochodzący z komnat nasilił się. Przez korytarz przebiegła przerażona Zaridja, służąca Asmodeusza, ścigana przez nagiego, pijanego demona, którego czerwone włosy oblepiało coś, co przypominało sałatkę z małży.

Dzinnija dostrzegła przybyłego pana i z okrzykiem rozpaczy padła mu do stóp.

- Błagam, ratuj! Ratuj! - skamlała. - On żąda ode mnie uciech cielesnych, mimo że kategorycznie odmówiłam, rozbiwszy mu na głowie miskę sałatki!

- Rzeczywiście, trudno nie zrozumieć odmowy - mruknął Asmodeusz.

Nagi demon chwiejnym krokiem zbliżył się do pana domu.

- Zzzzo...? - wybełkotał. - Chtoo ty?

- Wynocha! - warknął Asmodeusz. - Precz stąd, bo kopnę w pysk!

Czerwonowłosy zatoczył się.

- Błeee - powiedział tylko, padł ciężko na kolana i zwymiotował na buty Asmodeusza.

Gospodarz skrzywił się z obrzydzeniem. Demon wił się na podłodze, lecz Asmodeusz przestał zwracać na niego uwagę. Złapał za ramiona służącą i potrząsnął. Wrzała w nim wściekłość.

- Gdzie ona jest? - spytał ostro.

Migdałowe oczy dzinniji pociemniały z lęku.

- Nie wiem, panie, nie wiem... - mamrotała przerażona.

- Gdzie jest?! - warknął Asmodeusz, wpijając palce w ramiona służącej.

- Och, błagam, błagam... nie wiem! Może... nie wiem... w sypialni...

- Mojej?! - ryknął wściekle pan domu.

Zaridja skinęła głową, łykając łzy. Asmodeusz rozluźnił uścisk i popędził na górę. Stanął jak wryty na podeście schodów, skąd roztaczał się widok na salon. Skala katastrofy przewyższała tu znacznie rozmiar zniszczeń, które dostrzegł w korytarzu. Pijany tłum demolował właśnie salon. Nie ocalał ani jeden antyk, nie ostał się żaden mebel, żaden obraz czy rzeźba. Wszędzie walały się potłuczone marmurowe torsy, połamane nogi i oparcia foteli, kłaki z rozprutych kanap, skorupy zdeptanej ceramiki, pozrywane zasłony. Śmierdziało krwią, rzygowinami i alkoholem. Banda pijanych, półnagich demonów barłoczyła się na podłodze, gziła, macała. Ryczano sprośne pieśni, ktoś taplał się w prostokątnym, wykładanym mozaiką basenie, pośród pływających do góry brzuchami egzotycznych ryb, przypominających teraz trupy sylwestrowych baloników. Odłamki potłuczonych kryształowych lusterek wyglądały jak łzy. Nierządnicą Babilońska, w rozchełstanej purpurowej sukni, karmiła Siedmiogłową Bestię oliwkami ponabijanymi na długie, ostre paznokcie. Chichotała.

Asmodeusz trzasnął pięścią w poręcz schodów i wielkimi susami pognał na górę. W progu sypialni potknął się o chrapiącego dzinna, którego obudził kopniakami i spuścił ze schodów. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi i wpadł do środka. Oczywiście, była tam. Leżała w jego łóżku, pozwalając jakiemuś Głębianinowi obślinać sobie stopy. Na widok przybyłego uniosła senne powieki, rozciągnęła w uśmiechu kąciki warg. Przerabowała włosy, złote sploty rozsypywały się po poduszce, ale Asmodeuszowi i tak przypominały kłębowisko glist.

- Aaach, to ty. - Przeciągnęła się. Miała niski, słodki głos, zniewalający niczym gruchanie synogarlicy, lecz przez lata doprowadziła do tego, że Asmodeusz reagował na jej świergot atakami nerwicy.

- Wynoś się - wysyczał. - Natychmiast precz!

Czarne oczy, ocienione firaną rzęs, zaświeciły jak płonące węgle.

- Nie bądź nieuprzejmy. - Cudowny, słodki głos wydał się Asmodeuszowi mdlący jak nadmiar miodu. Udusiłby demonicę, skręcił jej kark, a ciało cisnął psom, ale nie mógł. Nie potrafił.

Perłowe odbłaski pełgały po aksamicie skóry, złoto włosów lśniło. Źrenice Lilith, beczelne i okrutne, wpatrywały się prosto w fiołkowe oczy Asmodeusza.

- Pani - wybełkotał skulony na łóżku Głębianin. - Czy mam wydrzeć duszę z tego suchego pomiotu, który śmiał cię obrazić?

- To ja ci powydzieram to i owo, jeśli się nie zamkniesz - warknął pobladły Asmodeusz. - Chociaż ten "suchy pomiot" był całkiem trafny.

Lilith zaśmiała się i machnęła lekceważąco ręką.

- Zostaw, Marax. On jest taki zabawny. Uwielbiam go.

Asmodeusz bezwiednie zaciskał pięści. Zaczął mówić cichym, łamiącym się z wściekłości głosem.

- Po co to robisz? Dlaczego nachodzisz mój dom? Wynoś się, odejdz. Ja ci dałem spokój. Dlaczego, do kurwy nędzy? Wytłumacz, dlaczego?

Okrutne oczy Lilith zwęziły się.

- Chciałam ci zrobić niespodziankę. I tyle.

Usta Asmodeusza wykrzywił gorzki grymas.

- No i zrobiłaś. To prawda. A teraz wynocha! Zabieraj z sobą tę bandę i precz!

Demonica zaprezentowała w uśmiechu drobne, ostre zęby.

- Nie mam ochoty, skarbie. Musiałbyś mnie wyrzucić. No dalej, wyrzuć nas. Jak zamierzasz to zrobić? Zawołasz straż? Wpuścisz oddział dzinnów? Spróbujesz sam? Chętnie popatrzę.

Przeciągnęła się lubieżnie.

- No - syknęła. - Weź mnie w ramiona i wynieś z łóżka. Nie mogę się doczekać.

Twarz Asmodeusza ściągnęła się gwałtownie.

- Suka! - warknął.

Lilith trąciła nogą skulonego u jej stóp Głębianina, który zdążył zapaść w pijacką drzemkę.

- Marax - poskarżyła się drwiąco. - Nazwał mnie suką. Myślałam, że stać go na coś oryginalniejszego.

Głębianin przewrócił przekrwionymi oczami, zamamrotał i znów zasnął. Asmodeusz stał blady jak papier, z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

- Więc nie wyjdiesz, tak?

- Ani mi się śni, skarbie.

- Dobrze, wyjdę ja. Nie sprowokujesz mnie do wywołania skandalu. Nie zmusisz, żebym wyrzucał cię siłą. Spługawiłaś mój dom. Wolę się przespać w burdelu.

Uniosła lekko brwi.

- W burdelu? Myślisz, że tu brakuje dziwek?

- Przeciwnie - warknął. - Jest o jedną za dużo.

Trzasnął drzwiami, nie obejrawszy się nawet. Ściągał go triumfalny śmiech Lilith.

\*\*\*

Brama Pałacu Błękitu nawet w nocy lśniła głębokim kobaltem. Gdy tylko zapadał mrok, siedemdziesiąt ognistych słupów oświetlało budynek. Siedem fontann szemrało na dziedzińcu. Kojąca, słodka muzyka dawała się słyszeć z wnętrza. Ściany połyskiwały błękitem i złotem. Przez ogrodzenie przelewały się kaskady oszałamiająco pachnących kwiatów.

Asmodeusz załomotał w drzwi kołatką w kształcie uśmiechającej się kociej głowy. Uchyliły się niemal natychmiast. Przepiękna dzinnija, ubrana w złoto i błękit, padła przed nim na twarz.

- Panie! - zawołała. - Co za zaszczyt. I w samą porę!

- Wstań - warknął Asmodeusz.

Zerwała się błyskawicznie na nogi, a dwie równie piękne służące już przyskoczyły ku przybyszowi, zdejmowały przemoczony płaszcz, podawały różaną wodę do obmycia rąk, niosły gorące, pachnące korzeniami wino.

- Co to miało znaczyć, Zubejda? - spytał ostro Asmodeusz. - W jaką samą porę?

Smągła twarz dzinniji pokryła się bladością. Zubejda, wyraźnie zmieszana, wyłamywała palce.

- Wybacz, panie. Ośmieliłam się okazać emocje i zaniepokoić cię. Ale, panie... dobrze, że przybywasz. Pan Sydragasum wyjaśni.

- Mam nadzieję - mruknął demon. - Nigdzie chwili spokoju!

Sydragasum, otyły, ocierający pot z czoła haftowaną chustką wielkości obrusa, biegł już na spotkanie, widocznie zawiadomiony przez kogoś ze służby. Potykał się i giął w ukłonach. Po nerwowych ruchach i rozbieganym spojrzeniu widać było, że jest zdenerwowany.

- Panie - wołał. - Nareszcie! Co za traf! A już się zastanawiałem, czy nie posłać po ciebie! Co za traf!

Chyba nie dla mnie, pomyślał ponuro Asmodeusz.

Błękitny Pałac był ulubionym lokalem demona. Niezbyt wielki, luksusowy i kameralny stał w cichej, willowej dzielnicy. Asmodeusz prowadził prężnie działającą sieć domów publicznych o doskonałej renomie. Zaczynał wiele wieków temu od kilku skromnych lokali, aby z czasem stać się właścicielem niemal wszystkich burdeli i kasyn w Limbo, Przedpieklu i Otchłani. Wśród nich znajdowały się podłe spelunki i ekskluzywne kluby, oferujące szeroką gamę rozrywek.

Z powodu profesji, a także z racji młodzieńczego wyglądu i zamiłowania do luksusu, nazywano złośliwie Asmodeusza Zgniłym Chłopcem. Jednak nawet wrogowie, których mu nie brakowało, musieli podziwiać jego inteligencję, talent do interesów i cięty język. Głębianin słynął też z elegancji, dobrego smaku i słabości do kobiet.

- O co chodzi, Sydragasum? - spytał z westchnieniem. - Gadaj szybko, bo chcę się ogrzać, wypić drinka i położyć do łóżka.

Zarządca przewrócił oczami, a upierścienioną, pulchną dłonią nieustannie ocierał pot z czoła.

- Ach, Wasza Mroczność, proszę! To dłuższa rozmowa. Poufna. Nie wiem, co robić!

Asmodeusz machnął ręką.

- Dobra. Chodź do gabinetu.

Ruszył szybkim krokiem, a tłusty demon dreptał za nim, sapiąc z wysiłku i strapienia. Przeszli przez główny salon, niezbyt zatłoczony o tej porze. Na kominku buzował ogień, goście rozmawiali z dziewczętami, pili. Zgniły Chłopiec skinął głową Belialowi, który stał przy barze, obejmując dwie demonice naraz, rudowłosą piękność w zielonej sukni i skośnooką dakini ubraną w złoto i czerwień. Zauważył Mefista i Adramelecha, pogrążonych w rozmowie w klubowych fotelach przy kominku. Byli zbyt zajęci, by go dostrzec. Jakiś mag zabawiał trójkę dziewcząt prostymi sztuczkami z ognistym wężem. Śmiały się i klaskały. Asmodeusz pomyślał z tęsknotą o ciepłe promieniującym od płonących w palenisku głowni, o smaku wyborowego koniaku i rozmowie z przyjaciółmi. Dziś żadna z tych prostych przyjemności nie będzie mu dana. Czuł to w powietrzu.

Już miał otworzyć drzwi gabinetu, gdy Sydragasum ostrożnie dotknął jego rękawa.

- Panie - szepnął zmieszany. - Chyba lepiej, żebyś najpierw coś zobaczył.

Asmodeusz odwrócił się poirytowany, ale widok poważnej, zasepionej twarzy zarządcy zamknął mu usta. Skinął głową. Sydragasum ruszył wąskimi schodami na górę, do pokojów pracowników.

Kwaterny urządzone skromnie, lecz wygodnie i ze smakiem. Asmodeusz minął pusty teraz dzienny pokój wypoczynkowy i skierował się za zarządcą do części mieszczącej sypialnie. Długim, łagodnie oświetlonym korytarzem dotarli do pokoju numer trzydzieści sześć. Sydragasum zawahał się przez chwilę, zanim zapukał.

- Proszę wejść - odezwał się cichy kobiecy głos.

Asmodeusz wszedł do środka. W pierwszej chwili zobaczył tylko łóżko, koło którego kręciły się cztery dziewczyny. Dopiero po chwili zauważył, że w pościeli ktoś leży.

- Jak się czuje? - spytał Sydragasum.

Misz, bardzo piękna demonica o złotych włosach i twarzy anioła, potrząsnęła smutno głową. Amina, ciemnowłosa Głębianka o błękitnych oczach, cofnęła rękę, w której trzymała wilgotną, zakrwawioną szmatkę.

- Źle - powiedziała. - Chyba nie przeżyje.

- Przepuście mnie - rozkazał sucho Asmodeusz, który domyślał się już, co się stało.

Rozstąpiły się posłusznie. Na łóżku leżał młody dzinn. Jego pierś, plecy i ramiona pokrywały głębokie, krwawiące rany. Włosy zlepiła krew. Twarzy właściwie nie było. Zastępowała ją lepka, czerwona maska. Jedno zapuchnięte oko spoglądało z lękiem, w miejscu drugiego ziała dziura. W podobną dziurę przemieniły się też usta, ze zmasakrowanymi wargami i powybijanymi zębami.

Rysy Asmodeusza wyostrzyły się, ściągnęły. Poblądł z gniewu.

- Dlaczego nie wezwałeś ochrony? - wycodził przez zęby. - Dlaczego dopuściłeś do czegoś podobnego? Poniesiesz konsekwencje, Sydragasum. Możesz być pewien.

Pot lał się strugami po czole i skroniach tłustego demona.

- Ależ, panie - jęknął płaczliwie. - W normalnych warunkach zareagowałbym...

- A te czemu miałyby być nienormalne? - przerwał Asmodeusz zimno.

Sydragasum wyłamywał nerwowo palce, aż brzękały uderzające o siebie pierścienie.

- Czy Wasza Mroczność nie domyśla się - wymamrotał z trudem - kto to uczynił?

Fiołkowe oczy Zgniłego Chłopca rozszerzyły się i pociemniały z gniewu.

- Ona? - wyszeptał chrapliwie.

Zarządca słabo skinął głową.

- To nie wszystko, panie. Przyprowdziła ze sobą z pięciu drabów, prosto ze spelunek Limbo. Rozumiesz, panie, typy, których nie wpuszczono by do najtańszego z twoich lokali. Trzy dziewczyny są mocno pobite, dwie zarażone jakimś czarno magicznym świństwem, a ten biedak pewno pójdzie do piachu. Pani Lilith załatwiła mu to osobiście. A to nie koniec strat. Oszukiwali w kasynie, terroryzowali gości, a wreszcie pobili krupiera, zabrali, co było na stole i poszli.

Przerwał, przytłoczony morderczym spojrzeniem fiołkowych źrenic.

- Dlaczegoś ją wpuścił, durniu?

Sydragasum drgnął.

- Panie, przecież jest twoją...

- Wiem, kim jest! - wrzasnął Asmodeusz. - Jeśli jeszcze raz o tym wspomnisz, wylecisz na bruk szorować pyskiem chodniki!

- Wybacz, panie - jęknął zarządca. - Ale jak mam jej nie wpuszczać? Podpali lokal albo co gorszego. Pani Lilith ma taki charakter...

- Wiem, jaki ma charakter - syknął Zgniły Chłopiec. - Dość już! Gdyby znów przyszła, natychmiast mnie zawiadomcie.

Jakby to coś pomogło, usłyszał w głowie drwiący głos. Nawet z własnego domu nie umiał jej wyrzucić.

Sydragasum chrząknął.

- Panie, co zrobić z chłopakiem? Leczyć nie warto, wyrzucić na ulicę chyba nie za dobrze i trochę niebezpiecznie. Potrzymam go parę dni, a jak trochę okrzepnie, zwolnię, bo tu już nie popracuje z takim wyglądem.

Asmodeusz odwrócił głowę. Napotkał cztery pary wystraszonych oczu i jedno zapuchnięte, przerażone ślipie.

- Zawołaj lekarza, zapewnij chłopakowi opiekę, a kiedy wydobrzeje, zatrudnij w kuchni albo gdzieś indziej.

- Ale koszta, panie!...

Zgniły Chłopiec machnął ręką.

- Nieważne. Tylko dobrze się nim zajmij, sprawdzę!

Sydragasum zgiął się w ukłonie.

- Wedle życzenia, panie. Czy przygotować apartament?

Asmodeusz westchnął. Ochota, żeby pozostać w Błękitnym Pałacu, zupełnie go opuściła.

- Nie, nie zostanę na noc - powiedział ze znużeniem.

Czuł się przybity i zmęczony. Popatrzył na dziewczęta. Amina ukradkiem ocierała łzę. Misz pochyliła głowę.

- Dziękujemy, panie. Jesteś bardzo dobry - wyszeptała.

Asmodeusz uśmiechnął się smutno.

- Opiekujcie się nim, odpoczywajcie. Daję wam dwa dni wolnego.

Skoczyły ku niemu dziękować, ale odprawił je gestem ręki.

- Sydragasum, wychodzę. Coś jeszcze?

Thusty demon z rozmachem palnął się w czoło.

- Ach tak! Byłbym zapomniał. Pani Nahema kazała przekazać, że przybyły nowe dziewczęta. Jeśli zechcesz ją odwiedzić, poczyta to sobie za zaszczyt.

- Przekaż, że wpadnę - mruknął Asmodeusz i wyszedł.

\*\*\*

Lucyfer, porytowany, podniósł głowę znad papierów. Zareagował dopiero na trzeci odgłos stukania do drzwi. Nie znosił, kiedy ktoś przeszkadzał mu pracować.

- Wejść - warknął. - I oby to było coś ważnego!

Do gabinetu wsunął się wystraszony służący.

- No? - zagadnął ostro władca Głębi.

- Panie, masz gościa.

- Oszalałeś? O tej porze? Odpraw go natychmiast!

Zmieszany służący chrząknął.

- Ale, panie, to Asmodeusz!

- Więc natychmiast go wprowadź, idioto! - zawołał Lucyfer, odkładając pióro.

Służący znikł, a pan Otchłani pomyślał ze złością, że trudno dziś o dobrą służbę.

Po chwili do gabinetu wkroczył Zgniły Chłopiec, zziębnięty, przemoczony i wściekły. Kulał lekko, jak zawsze, kiedy był zdenerwowany. Lucyfer zerwał się z krzesła.

- Na litość! Co się stało? - spytał zdumiony.

Asmodeusz machnął ręką i ciężko zwałił się na fotel.

- Luciu, wybacz. Muszę pogadać, bo szlak mnie trafi! Przeszkadzam ci, co? Pisałeś.

Lucyfer, zwany przez nieżyczliwych Lampką, zaczerwienił się lekko.

- Nic ważnego. Takie drobne próby.

Fiołkowe oczy Asmodeusza patrzyły uważnie.

- Przestań się krygować. Masz dobre pióro. Właściwie czemu publikujesz tylko pod pseudonimami, i to na Ziemi? Wydałbyś kiedyś coś pod własnym nazwiskiem w Głębi, zamiast marnować talent.

Lampka westchnął.

- Daj spokój. Władca Otchłani, który pisze książki. Moi przeciwnicy nie zostawiliby na mnie suchej nitki. I tak mam dość problemów z opozycją.



Asmodeusz wzruszył ramionami.

- Ja bym się nie przejmował. Ale jak chcesz. Powiesz chociaż, co to będzie?

- Sztuka - mruknął Lucyfer. - Do cholery, Mod, nie przyszedłeś przecież rozmawiać o literaturze! Co się dzieje?

Zgniły Chłopiec się skrzywił.

- Nawet mi się gadać nie chce. Przenocuję u ciebie, dobra? W domu mam burdel, w burdelu lazaret, pełna dupa, Luciu.

Lucyfer przeczesał palcami krótko ostrzyżone, jasne włosy, potarł wydatną szczękę. Szare oczy z troską badały napiętą, zmęczoną twarz przyjaciela.

- Lilith, tak? - spytał.

Gorzki grymas wykrzywił usta Zgniłego Chłopca.

- Bingo. Zdemolowała mi dom, urządzając dziką balangę, okradła kolejne kasyno, znowu przyprowadziła bandę sukinsynów, którzy pobili dziewczyny, a sama omal nie zamęczyła na śmierć jednego z moich najlepszych dzinnów. Zostanie oszepony na całe życie. Tym razem na straty poszedł Błękitny Pałac. Luciu, ja mam dość. Nie wiem, co robić.

Lucyfer w zamyśleniu tarł szczękę.

- Dawno ci mówiłem. Przestań się patyczkować. Suka cię wykorzystuje. Gra na twoich sentymentach. Niepotrzebnych, Mod. Nie musisz mieć żadnych skrupułów.

Asmodeusz masował skronie.

- Wiem, cholera, wiem, ale...

Lampka patrzył zaszępiony. Znał Asmodeusza od lat, łączyła ich głęboka, wypróbowana przyjaźń. Pan Głębi doskonale wiedział, że Zgniły Chłopiec, cynik i sybaryta, hazardzista i kobieciarz, jest w istocie najbardziej lojalnym i uczciwym demonem w całej Otchłani. Jego słynne miłosne podboje to raczej klęski na drodze poszukiwań prawdziwego uczucia, a przypisywane mu kręactwo to tylko bystrość i inteligencja w wynajdowaniu słabych punktów przeciwnika. Tak, Asmodeusz miał zasady, a zasady te często wykorzystywano przeciwko niemu. Jak choćby teraz.

- Mod - zaczął Lucyfer łagodnie. - Lilith jest twoją matką, ale to nie znaczy, że może cię niszczyć, zrozum.

Fiołkowe oczy były pełne smutku.

- Luciu, nic nie rozumiesz. Urodziłeś się w wielkim błysku woli Pana, niezależny, samoistny, a ja mam rodziców. Ale bodajbym ich nie miał. Samael i Lilith. Skurwysyn, wyrzucony z Głębi za okrucieństwo, i największa dziwka wszechświata. Wolałbym wilkołaka i strzygę.

Lampka westchnął.

- Dlaczego się na ciebie uwzięła?

Asmodeusz machnął ręką.

- Cholera ją wie - mruknął ponuro. - Bo odmówiłem namalowania jej portretu.

Lucyfer gwizdnał przez zęby.

- Tylko tyle?

- Wystarczy.

Asmodeusz był doskonałym malarzem. Porównywano go nawet do Babillo, największego artysty Głębi.

- Dlaczego odmówiłeś? - spytał Lucyfer. - Może trzeba się było zgodzić dla świętego spokoju.

W źrenicach Zgniłego Chłopca błysnęła prawdziwa udręka.

- Nie mogę wiecznie ulegać jej kaprysom, Luciu. Malarstwo jest dla mnie ważne. Po prostu nie chcę jej malować. Nie mogę się ugiąć w tej kwestii, bo wszystko by mi... splugawiła. Muszę zachować coś swojego. Mam dość. Chcę się przespać. Chyba niczego dziś nie wymyślę.

Lucyfer poklepał przyjaciela po ramieniu.

- W porządku. Powiem służącemu, żeby przyszykował ci pokój. Możesz zostać, jak długo zechcesz.

Asmodeusz uśmiechnął się gorzko.

- Przynajmniej póki nie doprowadzę do porządku chlewu, który zrobiła z mego domu.

\*\*\*

Twarz Nahemy rozpromieniła się w uśmiechu.

- Witaj, Asmodeuszu. Jakże się cieszę! Nie oczekiwałam cię tak prędko. Czuję się zaszczycona.

Zgniły Chłopiec odwzajemnił uśmiech.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Nahema cofnęła się z wdziękiem, aby przepuścić gościa. Nie była już młoda, ale zachowała ślady wybitnej urody, wysokie kości policzkowe, wąski, szlachetny nos, oczy w kształcie migdałów.

Nahema nie zajmowała się tak naprawdę stręczycielstwem. Wolą, gdy nazywano ją protektorką. Przyjmowała w swoim domu młode demonice z ubogich rodów, córki władcyków z odległych Sfer Poza Czasem, ambitne dzinnije i pozbawione posagów panny z prowincji. Wiele z nich marzyło o zaszczytnej pracy w którymś z luksusowych domów Asmodeusza, bo stamtąd prowadziły otwarte drzwi do kariery. Niejedna dziewczyna zostawała w krótkim czasie konkubina, a często nawet żoną jakiegoś możnego i wpływowego Mrocznego, głębiańskiego arystokraty. Amelia, małżonka samego Mefistofelesa, pracowała niegdyś w Księżycowym Domu Asmodeusza, a teraz często odwiedzała lokal razem z mężem. Służyła za doskonały przykład wielkiej kariery, gdyż nie była nawet Głębianką, ale zwykłą dakini. Jedyńymi kryteriami Nahemy w doborze młodych demonic były nienaganne maniery, inteligencja, wdzięk, wykształcenie i oryginalność. Powodziło jej się świetnie, choć od dziewcząt nie pobierała opłat za opiekę. Z tego powodu większość darzyła demonicę szacunkiem i nazywała patronką.

Pracę w lokalach Asmodeusza albo u innych mniej świetnych właścicieli podejmowały tylko te damy, które wyrażały na to ochotę. Pozostałym Nahema starała się znaleźć odpowiednią partię lub dobrą posadę. W razie niepowodzenia panna po roku wracała do rodzinnego domu.

Nahema wprowadziła Zgniłego Chłopca do salonu. Pokój był obszerny, oświetlony dyskretną poświatą bocznych lamp. Wielkie okno, za którym rozpościerał się widok na pogrążony w wieczornym mroku ogród, zajmowało całą jedną ścianę. Na prawo od wejścia stało pianino, pośrodku stół do gry w *zanu*, za nim pulpit do rysowania, a w rogu obszerna sofa. Po przeciwległej stronie stały klubowe fotele i stolik do kawy.

Nowo przybyłe panny czekały już na gości, zabijając czas grami i rozrywkami towarzyskimi. Gdy Asmodeusz wszedł, cztery młode demonice i jedna dzinnija z ciekawością uniosły wzrok. Wszystkie były bardzo ładne. Kruczowłosa Głębianka, siedząca przy pianinie, posłała gościowi oszałamiający uśmiech. W oczach dwóch dziewczyn, które przy niskim stoliku bawiły się starą, głębiańską grą wróżebną *zanu*, błysnął zachwyt. Ciemnoskóra demonica, zajęta rysowaniem, opuściła ołówek. Z wrażenia aż zamrugła, lekko rozchyliwszy usta. Tylko siedząca na uboczu dzinnija nie poruszyła się, zerkając ukradkiem znad książki.

Asmodeusz wyglądał pięknie. Seledynowe włosy nosił swobodnie związane na karku, młodzieńcza twarz o bystrych, fiołkowych oczach miała suchy, arystokratyczny profil i drapieżność istoty zrodzonej do walki o własną niezależność. Czarny strój podkreślał smukłą sylwetkę. Demon stawiał kroki lekko i sprężysto, prawie nie utykając.

Nahema zatrzymała się pośrodku salonu.

- Moje drogie - powiedziała. - Przybył pan Asmodeusz. Okażcie wszelkie względy naszemu szanownemu gościowi.

Demonice dygnęły głęboko, Zgniły Chłopiec odpowiedział ukłonem.

- Napijesz się wina? - spytała Nahema.

Z uśmiechem skinął głową. Kruczowłosa zerwała się od pianina i podała kieliszek z wdziękiem, lecz nie bez kokieterii. Niezła, pomyślał Asmodeusz, lecz zbyt nachalna, za sztuczna. Z pewnością się przebije, ale nie u mnie. Czarnuła już popędziła z powrotem do instrumentu i bębniła w klawiaturę, gotowa wykazać talent. Zgniły Chłopiec pochwycił porozumiewawcze zerknięcie Nahemy. Nic z tego, słodka, zdawało się mówić.



Pionki do *zanu* stuknęły głucho, dziewczęta zaśmiały się odrobinę zbyt głośno, a fiołkowe oczy demona spotkały się z niespodziewaniem z ciemną, głęboką zielenią spojrzenia siedzącej z boku dzinniji. Na wszystkie kręgi Otchłani, jaka ona była piękna! Asmodeusz poczuł, że tonie, nie może nabrać oddechu, a serce rusza do galopu po drodze wiodącej Mrok wie dokąd. Patrzył na łagodny owal twarzy, prosty, szlachetny nos, usta o słodkim kształcie serca i skórę złotą niczym popołudniowe słońce. Dzinnija nie uśmiechała się, nie kokietowała. Czekwała cicha, poważna, spokojna. To ona odwróciła wzrok, zapewne zmieszana zainteresowaniem okazywanym przez szanownego gościa, przesłoniła nieprawdopodobną zielenią oczu rzęsami czarnymi jak obsydian. Zdawało się, że bez emocji wraca do lektury, choć długie, smukłe palce trzymające książkę lekko drżały.

Zgniły Chłopiec odetchnął głęboko. Fiołkowe oczy nabrały dziwnie nieprzytomnego wyrazu, a serce nie zamierzało się uspokoić. Asmodeusz zakochał się nie raz, ale to, co się teraz zdarzyło, w niczym nie przypominało przyjemnego dreszczyku towarzyszącego zwykle początkom jego licznych romansów. Głęboki wstrząs, którego doznał, przywodził mu na myśl tylko jedno wydarzenie. Pierwsze spotkanie z Sarą. Nie bądź idiotą, nakazał sobie ostro, ale skojarzenie nie chciało zniknąć. Zgniły Chłopiec czuł się zbyt oszołomiony, żeby zauważyć zmianę na twarzy Nahemy. Demonica w zamyśleniu pocierała politurowany gzyms kredensu, a pionowa zmarszczka, która pojawiła się na jej czole, znamionowała zaniepokojenie.

- Spocznijmy, proszę - powiedziała, wskazując fotele.

Asmodeusz usłuchał, demonica przysiadła obok. Prawiła uprzejme grzeczności, na które nie zwracał uwagi.

Czas płynął, a Asmodeusz pił wino, zdawkowo odpowiadał Nahemie i z roztargnieniem słuchał świergotania dziewcząt. Dżinnija trwała pogrążona w lekturze.

Serce Zgniłego Chłopca wyprawiało nieprawdopodobne harce, aż w końcu zdecydował się zagadnąć panią domu.

- Kim jest ta samotna czytelniczka? - spytał, siląc się na obojętność.

Nahema upiła łyk wina.

- To Jashmin. Siedemnasta córka Angar Mereda, władcy dżinnów z północnej części Sahary.

Asmodeusz ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Pochodzi z wolnych, niezależnych dżinnów, które wciąż upierają się mieszkać na Ziemi?

Demonica skinęła głową.

- Trochę ich jeszcze zostało.

Zgniły Chłopiec uśmiechnął się.

- Więc jest księżniczką, tak?

- W pewnym sensie.

- Musi się czuć bardzo samotna.

Ciemne oczy Nahemy bystro zerknęły na gościa.

- Z pewnością. Nie zna reguł rządzących naszym światem, obyczajów, koneksji. To róża z pustyni, dziwna i dzika. Nie wiem, czy coś dla niej znajdę.

- O to bym się nie martwił - powiedział Asmodeusz z przekonaniem. - Porozmawiam z nią chwilę. Ciekawi mnie.

Wstał, zanim Nahema zdążyła odpowiedzieć.

- Co czytasz, pani? - spytał z uśmiechem.

Drgnęła.

- *Opowieści gwiazdy przewodniej* - odrzekła cicho.

- Wyborna klasyka. - Asmodeusz usadowił się obok. - Niektóre opowiadania to prawdziwe perły. Na przykład *Złoto nocy*. Albo *O śnie i smutku*.

- Znasz je, panie? - Ożywiła się. Z lekkim rumieńcem na twarzy wyglądała tak pięknie, że Asmodeusz zakochał się jeszcze bardziej.

- Oczywiście. Należą do moich ulubionych lektur.

Przyglądał się jej złotym paznokciom, ciemnym włosom o połysku miodu, głębokiej zieleni oczu, skórzastym skrzydłom lśniącym niczym mosiądź.

- Jesteś ifrytem, prawda? - spytał ze zdziwieniem.

Rumieniec na złotych policzkach pociemniał.

- W połowie, po matce.

Asmodeusz nachylił się blisko, błysnął w uśmiechu zębami.

- Pamiętasz historyjkę *O pustym dzbanie*?

W zielonych oczach załśniło rozbawienie.

- To moja ulubiona. Przewrotna, mądra i zabawna.

Nahema upiła kolejny łyk wina. W zamyśleniu stuknęła palcem w blat stolika.

\*\*\*

Zgniły Chłopiec plątał się po domu z kąta w kąt, zły, zirytowany, opryskliwy. Obojętnie doglądał remontu w salonie i wszystkie pytania zbywał wzruszeniem ramion. Na nowe meble i antyki ledwo raczył spojrzeć. Długie godziny spędzał w pracowni, ale nie malował. Wreszcie, nad ranem, po czwartej nieprzespanej nocy, przywołał posłańca i nie bacząc na wczesną porę, kazał natychmiast zanieść list do pani Nahemy.

\*\*\*

Światło było takie doskonałe. Łagodne i ciepłe, ślizgało się złotem po nienagannej sylwetce, po aksamicie skóry. Asmodeusz malował, całkowicie oderwany od świata, pogrążony w kosmosie kolorów i form. Nie usłyszał trzaśnięcia drzwi, odgłosu kroków. Zdołał tylko zobaczyć, jak twarz Jashmin błednie, a oczy ciemnieją z lęku.

- Co za słodka scena. Jestem wzruszona - odezwał się za jego plecami drwiący, niski głos przypominający gruchanie.

Odwrócił się błyskawicznie.

- A ciebie po co tu diabli przynieśli? - warknął.

Nienagannie wykrojone wargi Lilith krzywiły się w uśmiechu, ale źrenice ciskały gromy. Dawno nie widział matki tak wściekłej. Jashmin, przestraszona i zawstydzona, pospiesznie okręcała się fałdami draperii.

Głos Lilith stał się zimny i ostry jak sztylet.

- Nie chowaj się, śliczne zwierzątko. Chętnie zobaczę, kogo mój syn wybrał sobie na modelkę. Cóż to, Mod, zabrałaś się do portretowania dzikiej przyrody?

Asmodeusz zacisnął szczęki. Z chęcią skrzyknąłby Lilith kark. Nie znosił, kiedy nazywała go zdrobnieniem odpowiednim dla cyrkowej małpy, nie zamierzał tolerować obraźliwych słów wobec Jashmin, ale nie chciał się zniżyć do wymysłów ani wyrzucania matki siłą.

- Przystań się ośmieszać i przejdź do rzeczy - powiedział ostro.

Nie podobał mu się nienawistny wzrok, jakim Lilith mierzyła Jashmin. Czuł, jak lodowaty palec niepokoju dźga go pod sercem.

Lilith parsknęła pogardliwie.

- Dobrze. Bardzo proszę. Chcę czterdzieści procent zysku z twoich kasyn. Płatne w gotówce, ostatniego dnia miesiąca.

Asmodeusz nie powstrzymał śmiechu.

- Oszalałaś? Z jakiej racji mam ci płacić?

Wzruszyła ramionami.

- Bez racji - syknęła jadowicie. - Bo tak. Płać albo pożałujesz. Powiedzmy, że masz u mnie dług, bo cię urodziłam i wychowałam.

Zgniły Chłopiec parsknął pogardliwie.

- Krokodyle wkładają więcej uczucia w opiekę nad młodymi, szanowna matko. Zagrzebują jaja w piasku.

Lilith wydeła karminowe wargi.

- Nie liczyłam, że docenisz poświęcenie i troskę. Ale przyszedł czas uregulowania rachunków. Nie będę dłużej pobłażliwa. Koniec wyrozumiałości. Żądam od ciebie należytej opieki.

- Bo twoje matczyne serce krwawi - zadrwił Asmodeusz.

Prychnęła jak kocica. Czarne oczy płonęły wściekle.

- Zapłacisz, syneczku. Zobaczysz. Przyniesiesz mi dwa razy tyle. Przynajmniej do tego się przydasz, nędzny kuternogo. Nigdy nie mogłam uwierzyć, że urodziłam takie gówienko jak ty. Będziesz płacił jak złoto, mały. Przekonasz się, że matka jest tylko jedna. I gorzko pożałujesz, że nie umiałeś okazać szacunku.

Asmodeusz zacisnął ze złości szczękę, ale postanowił nie dać się sprowokować.

- Nie będę wysłuchiwał idiotycznych pogroźek ani tym bardziej kretyńskich żądań - powiedział spokojnie. - Poszukaj lepiej dobrego psychiatry, bo we łbie ci się przewróciło.

- Jak chcesz - warknęła. - Ostrzegałam. Pilnuj siebie i tego słodkiego kwiatuszka, bo mogę ci popsuć sielanekę.

Wytarł pędzle w szmatę. Zdenerwowanie spływało powoli. Matka wyraźnie oszalała. Wreszcie do tego doszło.

- Wynoś się - powiedział. - Skończ z tymi błazeństwami. Nie robią na mnie wrażenia. Jesteś żałosna.

- A ty głupi! - rzuciła.

Wyszła, szeleszcząc szkarłatną suknią, której tren ciągnął się po podłodze jak smuga świeżej krwi.

Jashmin drżała.

- Nie przejmuj się - szepnął łagodnie. - Lilith jest szalona, ale nie zrobi nam krzywdy. Nie ma się czego bać.

Objął dziewczynę rękami umazanymi farbą. Palce zostawiały na skórze barwne smugi. Jashmin przywarła do niego mocno.

\*\*\*

W klubie było tłoczno. Wrzawa rozsadzała uszy. Migały zimne, niebieskie światła. Gnące się ekstatycznie tancerki wyglądały jak widma. Asmodeusz przepychał się do stolika ze szklanką w ręku. W bursztynowym płynie tańczyły kostki lodu.

- Trzymaj - powiedział, stawiając szklankę przed Samaelem.

Rudowłosy demon pociągnął długi łyk. Asmodeusz usiadł.

- Masz kłopoty z Lilith, powiadasz? - Zielone, nakrapiane złotem oczy Samaela były drwiąco zmrużone. - Nic oryginalnego, synu. Nie ty jeden.

Asmodeusz pochylił się nad stołem, żeby nie przekrzykiwać wściekłego huku muzyki.

- Posłuchaj, to poważna sprawa.

Samael rozwalił się wygodnie na krześle.

- Po co przychodzisz do mnie? Ja codziennie rano tańczę na rękach z radości, że nie mam jej na karku. Spadaj stąd, Mod. Bawię się.

Zgniły Chłopiec z trudem powstrzymywał gniew.

- Do cholery, wysłuchaj mnie przynajmniej. Jesteś w końcu moim ojcem!

Demon roześmiał się szeroko i szczerze.

- No to co? Sam się martw o swoją prześliczną mamusię. Ja już nie muszę.

Asmodeusz przechylił się, chwycił Samaela za nadgarstek. Twarz wykrzywiła mu wściekłość.

- Zachowaj się chociaż raz godnie, dobra?

Rudowłosy demon pobladł.

- Godnie, mówisz? - warknął. - Tego słowa z pewnością mamusia cię nie nauczyła. Chcesz rady? Dam ci jedną. Z nią nie wygrasz. Ona nikogo nie kocha. Nie sposób jej zranić, przestraszyć, obłaskawić, przebłagać. To potwór. Żyłem z nią przez lata, więc wiem. Nie chcę słyszeć jej imienia, nie chcę patrzeć w tę podłą, śliczną twarzyczkę. Ja, demon, którego wyrzucili z piekła za okrucieństwo. Ryży Hultaj, desperat i prześmiewca! Wiesz co? W każdej minucie dziękuję losowi, że zostawiła mnie w spokoju. Nie pomogę ci, Mod. Nie sprowadzę sobie znów na łeb tego przekleństwa. Jest gorsza od zarazy, przysięgam. Cieszę się, jak cholera, że teraz zajmuje się tobą, bo przynajmniej mnie nie zadrecza. Spotkałem ją na swoje zatracenie, kiedy lała krokodyle łzy w nurty Flegetonu. Taka słodka, smutna, skrzywdzona piękność, która chciała tylko odrobiny zrozumienia. I zakochałem się z miejsca, biedny głupek. Nosilem tę zmię na rękach, obsypywałem bogactwami, zaszczytami, adorowałem. Dałem jej w posiadanie prawdziwe królestwo i czterysta osiemdziesiąt szwadronów Głębian na wyłączne usługi. I uwierz mi, wkrótce nie pozostał ani jeden, z którym by się nie przespała. Uwielbiałem ją, zabijałem dla niej, w jej imieniu, dla jej kaprysu,

a moje rogi obijały się o zenit kopuły niebieskiej. Omal mnie nie zniszczyła. Ale uciekłem. Tak, ja, Samael, po prostu zwałem. I tobie radzę to samo. Zanim cię pożre, Mod. A teraz spadaj. Idę poderwać jakiś towar.

Jednym haustem wypił zawartość szklanki. Stuknął pustym naczyniem o blat.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? - warknął Asmodeusz.

Ryży Hultaj wycelował w niego palcem.

- Aż tyle, synu.

Wstał i zaczął się przepychać na parkiet. Czerwona czupryna górowała nad tłumem. Asmodeusz ze złością trzasnął szklanką o stół, aż szkło rozprysło mu się w dłoni. Nie zwracając uwagi na czerwone strużki płynące po palcach, wcisnął rękę do kieszeni i skierował się ku wyjściu.

\*\*\*

Jashmin wstała, gdy wszedł do pokoju. Zauważył napięcie ściągające rysy twarzy, lekkie drżenie ust.

- Coś się stało, słońce? - spytał łagodnie.

Spuściła oczy. W palcach obracała zapisany kawałek papieru.

- Przyszedł list od pani Nahemy - szepnęła i urwała.

Z trudem odczytał ją pokornego zwrotu "panie".

- Co pisze?

Nie ośmieliła się podnieść wzroku.

- Ojciec jest rad, że zechciałeś zwrócić uwagę na jedną z jego córek. Zgadza się mnie sprzedać. Prosi, abys podał cenę.

Asmodeusz potrząsnął głową.

- Nie kupię cię, Jashmin.

- Nie? - Zbielałe nagle wargi ledwo się poruszyły. Coś zabłysło i umarło w głębokiej zieleni oczu. Skóra dzinnii pokryła się popielatą szarością. - Nie?

- Zostaniesz ze mną, jeśli taka będzie twoja wola. Nie chcę cię kupować, niewolić, traktować jak przedmiot. Oczywiście, zapłacę twemu ojcu, ale jeśli sama tak postanowisz. Zostań ze mną, Jashmin. Jako partnerka, albo... żona.

Upuściła list i podbiegła z rozwartymi ramionami.

- Och, tak! Tak! Na zawsze!

Od dawna nie czuł się taki szczęśliwy. Nie rozumiał tylko, czemu zimny palec niepokoju znów zaczął go szturchać pod żebrami.

\*\*\*



Oko nocy odezwało się natrętnie, terkotliwie. Asmodeusz wyciągnął z kieszeni kryształ.

- Tak? - spytał.

W polerowanej tafli pojawił się wizerunek Sydragasuma. Twarz demona, napuchnięta, sinofioletowa, wyglądała, jakby ktoś długo tłukł w nią kamieniem. Połamany nos zrobił się wielki jak kalafior, a w okolonych purpurowymi krwiami oczach czaiło się przerażenie.

- Nieszczęście, panie - wybełkotał nosowo zarządca. - Błagam, przyjeźdź!

- Zaraz będę - rzucił prędko Zgniły Chłopiec, bez wdawania się w zbędne szczegóły.

Sytuacja wyglądała na poważną.

\*\*\*

Sydragasum z jękiem przyłożył do skroni zimny kompres. Chustka momentalnie przesiąkła krwią. Palce demona przypominały teraz rozdęte do granic możliwości serdele. Paznokcie nabrały siniego odcienia.

- Wpadli tutaj - sepleniał przez rozkwaszone usta. - Mieli broń. Sterroryzowali nas wszystkich, kazali się zaprowadzić do sejfu. Było ich pewnie z dziesięciu. Od razu zabili ochroniarzy od Raguela i zażądali pieniędzy. Nie chciałem dać, więc zaczęli mnie bić. Nic nie powiedziałem, panie, a oni widać bali się tracić za dużo czasu, więc przywlekli dziewczyny. Bili je i gwałcili, żebym otworzył sejf. Kiedy jeden z naszych chłopaków, Sefer, rzucił się biedulom na ratunek, rozwalili mu łeb. Na Otchłań, panie! Krew była wszędzie, na ścianach, dywanie, meblach! Sefer drygał nogami, charczał, aż w końcu umarł. Dziewczyny wpadły w panikę. Piszczwały, płakały. Wtedy jeden złapał za włosy Meę, pamiętasz, panie, taką bystrą czarnulkę, co tak ładnie śpiewała. - Głos demona zaczął się łamać. - No i zabił ją. Strzelił prosto w usta, śmiał się i mówił obrzydliwe rzeczy. A to była taka dobra dziewczyna... ach panie!

Po opuchniętych policzkach płynęły łzy. Asmodeusz słuchał bez słowa, z kamienną twarzą. Tylko mięśnie szczęk drgały miarowo. Sydragasum zasmarkał się, ostrożnie wydmuchiwał w chustkę krwawe skrzepy.

- Powiedział, że będzie zabijał następne. Ale już nie tak szybko. Powolutku, po kawałku. Złapał Misz i chciał jej wydłubać oko. Przysięgam Wasza Mroczność, wcale nie żartowałem. No to otworzyłem sejf, panie... Niech mi Ciemność wybaczy! Nie mogłem dłużej patrzeć!

Głos Asmodeusza brzmiał spokojnie. Przerazająco spokojnie.

- Postąpiłeś słusznie, Sydragasum. Wiesz, kto was napadł?

Demon skinął głową.

- Tak, panie. Ten główny, najgorszy, którzy zabijał, nazywał się Marax. Zabrał pieniądze i powiedział, wybacz, panie, że następnym razem masz je przynieść w zębach pani Lilith albo nikt tu nie zostanie żywy.

- Marax, mówisz? - syknął Zgniły Chłopiec. Twarz mu się ściągnęła, wyglądała jak pysk drapieznika. - Marax i Lilith. No dobrze.

Wstał gwałtownie, omal nie przewracając krzesła. Szybko ruszył ku wyjściu. Sydragasum odprowadzał go przerażonym wzrokiem zbitego psa.

- Dokąd idziesz, panie? - zaskomlał.

Asmodeusz odwrócił się. Fiołkowe oczy stały się niemal czarne.

- Zrobić porządek - wycedził.

\*\*\*

Zaterkotało oko nocy. Asmodeusz odebrał.

- No? - rzucił ostro.

Smagła twarz Merkha, kapitana jego dzinnów nie zdradzała uczuć.

- Mamy go. Tawerna "Wdowi Smutek", w Limbo. Wchodzić?

- Poczekajcie na mnie. Zaraz będę - odrzekł Asmodeusz.

\*\*\*

Drzwi, wywalone kopniakiem, wpadły do środka. W tawernie było prawie pusto, zabrakło nawet stałych bywalców, wystraszonych najazdem bandy Maraxa. Oszołomieni alkoholem, zaskoczeni zbójce zepchnęli z kolan rozchełstane dziwki i chwycili za broń. Za późno. Dżinny w zielonozłoty turbanach spadły na nich jak burza.

- Aszmo-daiiiii! - wibrował w powietrzu krzyk.

Błysnęły szerokie, krzywe szable. Ośmiu zbirów zbiło się w kupę, plecami do siebie, ale zieleń i złoto otoczyły ich ze wszystkich stron. Jeden złapał się za przerąbany pysk, zalał krwią i runął pod nogi towarzyszy. Drugi padł ze stęknieniem, przytrzymując wypływające wnętrzności, kolejny zwał się na kolana, tryskając fontanną krwi z rozrąbanej szyi. Mrugająca ze zdumienia głowa potoczyła się pomiędzy przewrócone stoły, po czym znieruchomiała. Sprawiedliwość Asmodeusza działała gwałtownie i bezwzględnie.



Zgniły Chłopiec, z głębiańskim pistoletem Abyssum vocat 45 w dłoni, potrząsał wywleczonym z komórki pod schodami karczmarzem.

- Gdzie jest Marax? - syknął wściekle.

Przerażony oberżysta zasłaniał się rękami.

- Nie bij, panie! Nie bij!

- Zabiję, jeśli nie odpowiesz! - wrzasnął Asmodeusz.

- Na górze! Na górze, panie! Łaski!

Cisnął karczmarza jak worek i wielkimi susami pognął po schodach. Kopnął drzwi do jedynej izby. Marax pospiesznie wciągał gacie. Wystraszona dziwka zbierała rozrzucone łachy.

- Precz! - warknął do niej Asmodeusz.

Półgoła, przyciskając do siebie kłęb kiecek i bielizny, uciekła w popłochu na dół. Wystarczyło jej jedno spojrzenie w fiołkową furię. Marax zamarł z troczkami w dłoniach, otworzył usta.

Asmodeusz pokręcił głową.

- Nie będzie żadnej gadki - powiedział i strzelił.

Siła uderzenia zbiła demona z nóg. Padł na plecy z rozkrzyżowanymi ramionami. Na piersi już rozkwitał mu wielki, szkarłatny kwiat. Rozszerzone granatowe oczy patrzyły z niedowierzaniem. Niebieskie włosy leżały rozrzucone wokół głowy niczym aureola namalowana przez daltonistę.

Nieładny grymas wykrzywił usta Asmodeusza. Abyssum vocat 45 ponownie plunął ogniem. Ciało na podłodze drgnęło, poderwane siłą uderzenia pocisku, i zamarło. Granatowe oczy zapatrzyły się w pustkę.

- Widzisz? - mruknął Zgniły Chłopiec. - Nie było żadnych zbędnych gadek. A nie chciałeś wierzyć.

Splunął pogardliwie na podłogę.

- Tyle możesz powtórzyć swojej pani - powiedział.

Marax nie słyszał. Patrzył w próżnię.

**Koniec**